

Wojciech Stanisławski: Złoty piasek

Pamiętam uniesienie czytelników, jakie towarzyszyło pierwszemu wydaniu „«Węzła gordyjskiego»...” w roku 2001, ale i pewne zaskoczenie, obawę, czy nie dostał nam się Herbert strywializowany i upolityczniony.

Relacje między pisarzami a światem prasy (na naszych oczach powoli schodzącej ze sceny, ale przez cały wiek XX odgrywającej kluczową rolę w obiegu informacji i idei) są dość złożone. Owszem, wielkim twórcom zdarzało się publikować pojedyncze eseje czy poematy na kartach elitarnych czasopism. Zdarzało się udzielać długich wywiadów. Czasem, namówieni przez naczelnego, pozwalali łaskawie opublikować swój najnowszy utwór (zwykle o aktualnej wymowie) w wydaniu codziennym. Był to precedens, o którym długo rozprawiano, świadczący o zaangażowaniu poety w sprawy publiczne, często przeważający szale sympatii opinii publicznej (czy nie takie były losy recepcji wiersza „Nienawiść”?).

Na co dzień jednak zapełnianiem dalekich od czołówki szpalt, biciem *czarnej piany gazet*, relacjami ze spotkań autorskich zajmowali się wyrobownicy pióra, dziś okreśłani mianem mediaworkerów. Nikt szczególnie nie szanował rymopisów, dostarczających co kilka dni kilku strofek do rubryki humorystycznej. Szanujący się pisarze mogli od

czasu do czasu pojawić się jako autorzy cyklu publicystycznego, rozważań o historii, w ostateczności – publikowanej w odcinkach noweli lub powieści: takie były granice kompromisu.

Dlatego czymś niezwykłym jest kolejne wydanie jednego z wielkich dokonań polskiego edytorstwa: trzech tomów „pism rozproszonych” Zbigniewa Herberta. Pamiętam uniesienie czytelników, jakie towarzyszyło pierwszemu wydaniu w roku 2001, ale i pewne zaskoczenie, obawę, czy nie dostał nam się Herbert strywializowany i upolityczniony. W dwa wydania, niemal ćwierć wieku i kilkadziesiąt odkrytych przez Henryka Citko nowych tekstów później widać, że była to obawa daremna.

Paleta tytułów, często niszowych lub regionalnych („Tygodnik Wybrzeża”, „Biuletyn Literacki Oddziału Gdańskiego ZLP”, „Kwartalnik Artystyczny”). Wiele formatów – od recenzji, not, „sylwetek”, przez okazjonalne rozmowy czy szkice bliskie esejom, po kilka pierwszych lekcji „poetyki dla laików”. Wyraźna przewaga tekstów sprzed spóźnionego debiutu książkowego, z krótkiej w latach, a tak przeraźliwie i beznadziejnie się dłużej epoki stalinizmu. Nie są to juvenilia: pisał je człowiek dorosły metrykalnie i duchowo, świetnie posługujący się piórem – i pod gigantycznym ciśnieniem cenzury i okoliczności testujący granice: co jeszcze uda się napisać uczciwie, pisząc zarazem, to oczywiste, dla chleba?

Pierwsze dwa wydania zostały znakomicie wykorzystane zwłaszcza w „Niepokoju” (2018), czyli pierwszym tomie biografii Herberta pióra Andrzeja Franaszka. Tam jednak zaczerpnięte z nich informacje konkurują z wieloma innymi źródłami do historii poety. Zwykle też

tylko z przypisów (a biografia Franaszka biegnie zbyt wartko, by ktokolwiek prócz bezdusznych literaturoznawców dał radę zatrzymać się co zdanie i odcyfrowywać petitową notę) można dowiedzieć się, że dany fakt został stwierdzony przez biografa na podstawie tytanicznej pracy Pawła Kądzieli. Dopiero więc lektura „«Węzła gordyjskiego» i innych pism rozproszonych” *in extenso* daje możliwość poznania – na ile to możliwe przez pryzmat notek i recenzji – realiów życia Herberta epoki stalinizmu, życia, które od czasu kilku wzmianek w „Dzienniku '54” Leopolda Tyrmanda było przedmiotem fascynacji i mitologizacji, życia godnego i głodnego. Jak dokładnie było? Jak autor, który świadom był wyjątkowości swojego dzieła, zabiegał o możliwość opublikowania na łamach „Ilustrowanego Kuriera Polskiego” noty „Odczyt u filologów w Toruniu”, liczącej dziewięć wersów i podpisanej „zh”? „Drobiazg, ale dla mnie już nie ma rzeczy drobnych, schylę się po peta” – kwitował Tyrmand 13 stycznia 1954 propozycję zadiustowania jakiegoś przekładu za dwieście złotych, trochę pławiąc się w doznawanym upokorzeniu. Ile razy autor „Struny światła” powtarzał sobie podobne usprawiedliwienie, informując czytelników o spotkaniu z Henrykiem Worcellem, nagłaśniając plany prezes oddziału ZLP Malwiny Szczepkowskiej („maryniści pracują nad nowymi książkami...”), chwalaąc scenografię „Ożenku” Gogola? I czy kolejne, idące w dziesiątki, pseudonimy – od tych najbardziej znanych, jak „Stefan Martha” czy „Patrik”, po różne warianty „berta” i swoich inicjałów – sprawdzały się jako maska, za którą może ukryć się zbieracz niedopałków?

Proszę mnie dobrze zrozumieć: jestem najdalszy od żaru spóźnionego inkwizytora, sołdata „czwartej brygady”, który miałby zamiar wypominać Herbertowi, że „taki był niby niezłomny, a proszę, pisywał w «Słowie Powszechnym» u Piaseckiego!”. Podobne głosy, głupie i zaciętrzewione, podniosły się raz i drugi po pierwszym wydaniu „Węzła

gordyjskiego”; od dawna nie mają w rozmowie o Herbercie prawa obywatelstwa. Nie, idzie mi o coś zupełnie odmiennego: o to, jak pisarz obdarzony takim (strach użyć tego słowa) „stylem”, dykcją, która sprawia, że niemal każde zdanie jego prozy można rozpoznać jako „napisane przez Herberta” – godził się z sytuacją, w której zmuszony był (zwłaszcza w tych najuboższych formach, w dziesięciowersowych notach) sięgać po sformułowania najbardziej wyświechtane, wytarte, jakby pochodziły z zatłuszczonego notesu starego pismaka? Po wszystkie te „...dali żywe i dowcipne postacie charakterystyczne” (to z recenzji teatralnej); „Staraniem oficyny ukazało się fototypiczne wydanie oryginału...”; „Ostatni czwartek literacki ściągnął więcej niż zwykle słuchaczy...”. Używanie takich komunałów byłoby kłopotliwe dla stażysty, który trafił na praktyki; jak funkcjonował pod tym ciśnieniem Herbert?

A może właśnie pod tym ciśnieniem (niedocenionym czynnikiem, chowającym się w tle edukacji klasycznej i stalinowskiego terroru) nie tylko funkcjonował, ale – zmierzał do swojej doskonałości? Trylogia, o której kreślimy tu kilka niezdarnych zdań, jest bowiem wyjątkowa jeszcze pod jednym względem. Owszem, w wielotomowych wydaniach dzieł zebranych uznanych twórców można natknąć się nieraz na „prozę drugiego rzutu”: listy do dalszych krewnych, grzecznościowe wpisy do kronik, *miscellanea* w rodzaju wstępu do programu teatralnego, posługę recenzencką czy felietonową. Jest to zawsze cenne źródło dla badaczy, pozwalające prześledzić dzieje lektur i romansów, trasy podróży, czasem, gdy ktoś ma zacięcie buchaltera albo sprawny moduł analizy big data – zmieniające się proporcje w użyciu przez poetę czasowników dokonanych i niedokonanych. Z reguły nie sięga po te tomy nikt prócz specjalistów i zdesperowanych doktorantów.

„Węzeł gordyjski” – obok cytowanych powyżej kompromisów z rzeczywistością dziennikarską – skrzy się po prostu od *herbertianów*: od fraz tak niezwykłych, tak pierwszych, jak te, które znamy z tomików, z „Barbarzyńcy w ogrodzie”, z pierwszych tomów korespondencji poety. To samo połączenie *ziarna absolutu z ziarnem gliny*, ziemistego konkrety z kantowską abstrakcją, dobawione czasem dickensowskim humorem, a czasem całkiem własną (choć może nie bez wpływu, większego niż sądziliśmy, Gałczyńskiego i Witkacego?) purenonsensową ironią. I kroplą doskonale czarnej rozpacz, zrozumiałej dla tych, którzy wiedzą już, ilu facecjonistów, komików, „najdowcipniejszych ludzi świata” chowa się w swoim śmiechu za depresją. „Świat – wyklada nam Sartre – składa się z całej mnogości przedmiotów od stołka aż do Wielkiej Niedźwiedzicy, których istnienie jest ślepe, tępe, ciężkie i nieciekawe. To wszechświat, który nie wie nic” – tłumaczy poeta egzystencjalizm czytelnikom „Tygodnika Wybrzeża”. Czy ktoś (poza może Leszkiem Kołakowskim w „Wielkiej encyklopedii filozofii i nauk politycznych”) zdobył się na podobną kondensację?

Zdań, błysków, metafor, które wyglądają, jakby osypały się na strony „Węzła gordyjskiego...” prosto z „Barbarzyńcy w ogrodzie” jest bez liku. Chciałem przemycić w tej recenzji aluzję do rozgrywającego się w tych dniach dramatu Ukrainy i napisać coś o „Herbercie ziem rzadkich”, o tym, że można by z tych dziesięciowersowych recenzji pozyskiwać takie skarby jak lantan, skand czy molibden. Ale byłoby to porównanie zupełnie bez sensu. „Węzeł gordyjski” przypomina raczej złotonośne piaski: starczy przez chwilę pochylić się w skupieniu nad dowolną stroną, by trafić na okruch wielkiej wartości i blasku. Miejmy nadzieję, że nikt nie będzie próbował tego złoza, tej spuścizny zawłaszczyc.

Wojciech Stanisławski

**Zbigniew Herbert, „«Węzeł gordyjski» i inne pisma rozproszone”;
zebrał, przedmową i notami opatrzył Paweł Kądziera;
Wydawnictwo Więź, Warszawa 2024.**

ZBIGNIEW
HERBERT



„Węzeł gordyjski”
oraz inne pisma
rozproszone
1948–1998

TOM
I

WIEŻ

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie.

► Przeczytaj wcześniejsze

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
